

I/822

Tatarczuk Ryszard/ Białystok, Mickiewicza 44a/ 34 /
ur. 10.07. 1931
wyw. 13 .04. 1940/rejon kujbyszewski/
pow. 13.07.1946
wyw.przeprow. 6.05. 1992 przez Małgorzatę Szybutowicz

Nazywam się Ryszard Tatarczuk. Urodziłem się 10 lipca 1931 roku w Choroszczy.  ARCHIWUM WSCHODNIE

W roku 1940, 13 kwietnia, zostałem aresztowany wraz z ~~mamą~~ mamą, siostrą, bratem, dziadkiem i babcią.

Dostarczyli nas do wagonów bydłęcych, stojących gdzieś na boczniczy między Hetmańską a Białystokiem centralnym i stąd wywieziono nas do Kazachstanu. Podróż przebiegała w warunkach strasznych, pozbawieni byliśmy ubikacji. W wagonie było bardzo wiele osób. Z wagonów nie było można wychodzić, już na terenach rosyjskich zatrzymywano wagon i podawano gorącą wodę. Podróż trwała od 13 kwietnia aż nie pamiętam krórego maja dotarliśmy do stacji Pawłodar, a więc podróżowaliśmy cały miesiąc.

W tym wagonie, w którym jechaliśmy byli ludzie z Białegostoku, Sokółki, Grajewa, Krypna - z okolic Białegostoku.

W Pawłodarze nastąpił rozdział do różnych miejscowości. Rozdzielało nas NKWD. Samochodami przewieźli nas przez Irtysz /na promie/. Moja rodzina znalazła się w Ekiwastuckim sowchozie. To była pawłodarska obłóść, kujbyszewskij rajon. Każdy sowchoz miał kilka firm. Trafiliśmy do firmy pierwszej.

Tam zmarli: mój dziadek, babcia i brat. Zmarli z choroby, wycieńczenia, niedożywienia. Dziadkowie mieli po 60-tce /to byli rodzice mamy / a brat miał trzy lata.

Pierwszy rok - z 1940 na 1941 chodziłem do szkoły ruskiej. Z początku wojny wszystkich zapędzono do pracy bez względu na wiek - czy dziesięć, czy piętnaście lat.

Warunki pracy były ciężkie, my jako mali chłopcy pasaliśmy w stepie krowy. Każdy miał ponad sto pięćdziesiąt krów pod swoją opieką. W okresie zimowym pracowaliśmy przy pielęgnacji tych krów - wywożenie nawozu, czyszczenie, pojenie, ładowanie siana. Później już gdy byłem starszy to pracowa-
-łem

-łem przy tzw. chleboborce. To były zasiewy zbóż. No i oczywiście sianokosy gdzie się kosiło siano na zimę, układało w sterty dla krów.

Wszyscy pracowali bez względu na wiek. Ja latem pasłem zimową porą uprzętałem obornik. Każdą krowę trzeba było czyścić, podściełać jej, dawać siano, poić je.

Nie było żadnego wynagrodzenia. Ja dostawałem pół czy cały litr airanu - to jest coś w rodzaju kwaśnego mleka - gotowane mleko i zakwaszane, i rozbijane, i porcję chleba ok. 50-60 dag. Tę porcję, tak samo i na chlebauborce, i na sianokosach, dawano na posiłki ranne, obiadowe i wieczorne.

Pracowaliśmy razem z miejscowymi z tym, że oni nie wykonywali tych czynności co my. My czyściliśmy, my wywoziliśmy nawóz, krowy paśli i kozacy - starsi - młodszy nie. Dojarki, to były kobiety miejscowe, nasze kobiety nie doły, one były do pracy ciężkiej. Były przede wszystkim same kobiety i dzieci, mężczyzn było bardzo mało - jeżeli już byli jacyś, to poszli później do armii Andersa albo do armii kościuszkowskiej. Każdy kombinował że ma więcej lat, żeby tylko dostać się do wojska, wyrwać się z tych warunków, w których my tam byliśmy.

Mieszkaliśmy w ziemlankach - to były budowle kopane w ziemi, kryte słomą, trochę z gliny wzniesione do góry tak, że można było z łatwością na nie skoczyć. One były już, gdy tam przyjechaliśmy, my ich nie przygotowywaliśmy. Tam mieszkało po kilka rodzin w pokoju, dwa pokoje i kilka rodzin. W podobnych ziemlankach mieszkali i ci Kozacy tylko w nieco lepszych. W naszej długiej ziemlance na początku mieszkała rodzina Kozaków, a dalszą część zajmowaliśmy my.

Na fermie był nieco lepszy standard tych budynków, glinianych oczywiście,

Palić nie było czym, paliło się nawozem krowim suszonym. Zbierało się go na stepie specjalnie na okres zimy, wszystko zamarzało, okienka były małe.

Kozacy mieszkali na początku ziemiłanki. Ta ziemiłanka miała 50-60 m długości. Dalej to mieszkali wszystko Polacy, było nas kilka rodzin: Bergielowie, Geniuszowie, Pawłowscy, Jabłońscy, Perkowski, LewkoN, Ninejko, Żukiewiczowie. Na naszej fermie mieszkali ludzie z Sokółki, Grajewa, Brzostowicy, Krypna.

My zostaliśmy zesłani jako rodzina policjanta. Mój ojciec był policjantem, uciekł przed aresztowaniem, uciekł do Warszawy. Uciekł w 1939 roku. W 1945 roku, kiedy AK się uwalniała to dostał się i był w Stalinogorsku od stycznia 1945 roku do 1947 roku, do listopada. Był w obozie.

Państwa Żukiewiczów ojciec też był policjantem. Tam były rodziny wojskowych i policjantów. Wywiezieni 13 kwietnia to rodziny policyjne, rodziny wojskowych, bo w lutym, 10, 1940 roku, to leśników, gajowych, ci wszyscy inni. No oczywiście i nauczyciele tam byli itp.

Wywieziono mnie z Choroszczy. Jeszcze z mojej ulicy zabrano rodzinę Romanowskich. A ich to za to, że ojciec powiedział coś na Sowietów, gdzieś tam na ulicy wyraził się o nich bardzo ostro. On został aresztowany wcześniej, a potem zabrano rodzinę.

Przyszli po nas w nocy. To były trzy czy cztery osoby. Przyszły do mieszkania i przewracali wszystkie kąty. Można było wziąć ze sobą trochę jedzenia i ubrania. Zresztą nikt nie miał głowy do tego w takich okolicznościach. Załadowali nas na furmankę i przywieźli do Białegostoku. Coraz do tych wagonów dowozili i doładowywali ludzi. W wagonach były deski, na których się pokotem leżało i dziura służąca jako ubikacja.

Ludzie w wagonie wspierali się, podtrzymywali ~~na~~ ducha, że to pomyłka, co okazało się nieprawdą, gdy znaleźmy się na rosyjskich terenach.

Tam przeżyliśmy do 1946 roku. W 1946 roku wróciliśmy do kraju, w maju wyjechaliśmy stamtąd.

Warunki życia były bardzo ciężkie, cokolwiek się miało, to sprzedawało się za kilka kilogramów zboża, mąki, cokolwiek aby utrzymać się przy życiu. Kradło się także co się dało. Jeżeli był zbiór prosa, to te kłosa zbierano i na żarnach mielono, żeby upiec jakiś placek.

Do szkoły chodziłem rok, to była szkoła rosyjska, wszystko uczono po rosyjsku. Ja miałem wtedy dziewięć lat, na następny rok zaczęłem chodzić do pracy. Tam chodzili Kozacy i podlegające do szkoły polskie dzieci, ale to trwało rok, po roku nikt nie chodził do szkoły, ale kazano nam iść do pracy.

Staraliśmy się uczyć sami. Jedna pani była za nauczycielką. Ona starała się uczyć młodsze dzieci i nas wierszy patriotycznych, liter po polsku. To było tzw. tajne nauczanie, bo nikt o tym nie wiedział, tylko to się odbywało po cichu w tym baraku.

Oprócz tej szkoły nie było innych form życia zorganizowanego. Na fermie ludzie zajęci byli pracą i walką o utrzymanie się przy życiu.

Myśmy byli ponad dwieście kilometrów od Pawłodaru. Kołchoz był spory, było kilka stad krów, każde stado liczyło w granicach 150-ciu krów. Sam sowchoz składał się z czterech ferm, który były odległe od siebie o 30-40 km. Zarządzała nimi centrala. Nasza ferma była nieduża - pięć stad krów po 150 sztuk, trochę koni i to wszystko. Mieszkało tam parę rodzin kozackich - 10-15-ście.

Stosunki z Kozakami układały się różnie, oni pędzili nas do pracy, od nich wymagano, żeby nas pilnowali, my z kolei byliśmy oporni i nie chcieliśmy wykonywać tego, czego sobie życzyli. Stąd były spory. Wiadomo było, że czasami niesiemy trochę zboża, żeby zemleć w domu, a oni chcieli nas rewidować i nieraz były nieprzyjemne zdażenia.

~~Obor~~ Podczas pracy nadzorowano nas, jeżeli pracowaliśmy przy oborze, to był ten szef obory i dojarki ganiały, bo każda miała wyznaczoną ilość krów i chciała, żeby przy tej krowie było czysto, żeby ona mogła przyjść doić.

Na sianokosy i chlebouborkę odjeżdżaliśmy z fermy gdzieś 10-15 km, tam ziemiaki były i tam się mieszkało i tam się pracowało, do fermy się wracało aż po wykonaniu posiania, sprzętnięcia tego i na jesień się wracało.

Zimy były bardzo ostre, były burany - zamiecie śnieżne. Jeżeli człowiek wychodził to strach było, czy wróci do domu, bo gdy odchodził na odległość pół metra, to już nie było go widać. Od nas jeden poszedł po wodę i nie wrócił, zapędziło go gdzieś tam daleko, zgubił drogę i później został znaleziony, zamarrznięty w stepie.

W naszej fermie Polacy bardzo dobrze ze sobą żyli, była jednoś, zrozumienie i wzajemna pomoc. Jeden drugiemu starał się pomóc.

Z naszej fermy w ciągu tych sześciu lat zmarło z 15 osób. Lekarz był dla nas nieosiągalny, gdy ktoś chorował to leczono go domowymi sposobami. Gdy ktoś miał bańki, zabrał ze sobą, to stawiano bańki, smarowano, starano się własnym sumptem leczyć.

Jedliśmy wszystko, co nadawało się do jedzenia. Nam akurat przysyłano paczki z Polski, niewiele, ze trzy razy otrzymaliśmy.

Do wojska mnie zabrano przed maturą, bo byłem przerośnięty. To było w 1951 roku. Każdy starał się później w pracy nie ujawniać tego, nie chwalić się tym, nie mówić i pisać o tym..

Ojciec miał kłopoty gdy wrócił z obozu, wzywało go dwa razy UB. Przesłuchiowano go po powrocie ze Stalinogorska, siedział tam dwa lata, był w AK. Potem tak się szczęśliwie złożyło, że znajoma pani dyrektor przyjęła go do pracy, prowadził historię chorób, spokojnie pracował.

Cały ten okres pobytu wspominam jako stracone dzieciństwo. Ciężkie choroby/sam chorowałem na malarię/, brak witamin - chodziły wszystkie zęby.

Nie można było się stamtąd wydostać. Ja znam tylko jeden przypadek. Pani Mitzejko, hrabina z Brzostowicy, została zabrana przez Iran, Irak do Angli. Jej mąż był rotmistrzem przed wojną, działał z Sikorskim i on załatwił jej wyjazd do Angli.

M. Szyfuchoniz
Bielsko 605.1892

Do wojska mnie zabrano przed maturą, bo byłem przerośnięty. To było w 1951 roku. Każdy starał się później w pracy nie ujawniać tego, nie chwalić się tym, nie mówić i pisać o tym..

Ojciec miał kłopoty gdy wrócił z obozu, wzywało go dwa razy UB. Przesłuchiowano go po powrocie ze Stalinogorska, siedział tam dwa lata, był w AK. Potem tak się szczęśliwie złożyło, że znajoma pani dyrektor przyjęła go do pracy, prowadził historię chorób, spokojnie pracował.

Cały ten okres pobytu wspominam jako stracone dzieciństwo. Ciężkie choroby/sam chorowałem na malarię/, brak witamin - chodziły wszystkie zęby.

Nie można było się stamtąd wydostać. Ja znam tylko jeden przypadek. Pani Mitzejko, hrabina z Brzostowicy, została zabrana przez Iran, Irak do Angli. Jej mąż był rotmistrzem przed wojną, działał z Sikorskim i on załatwił jej wyjazd do Anglii.

M. Szyfuchoniz
Bielsko 605.1992